Nr. 7. We Lwowie dnia 17. lutego 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Medycyna ludowa i domowa.

(ODEZWA).

Komitet hygjeny ludowej postanowił na tegorocznej wystawie hygjenicznej w Warszawie przedstawić obraz obecnego stanu kraju pod względem zdrowotnym w osobnem dziele, które pomieścić ma i medycynę ludową. Choroba według pojęć naszego ludu jest istotą rzeczywistą, choć niewidzialną, albo czarem, urokiem zadanym przez złego człowieka. Przy leczeniu więc lud stosuje środki specyficzne, antydoty, posiadające moc magiczną usuwania choroby (np. barwinek przeciw kołtunowi) albo chroniące od czarów i odczyniające je, jak: zażegnywania, zamawiania itd. Do leków mistycznych zaliczyć należy egzorty dla wypędzenia djabła i sił nieczystych, przypominające czasy średniowieczne. Pojęcia powyższe uważać można za samorodne, odziedziczone z czasów przedchrześcijańskiej starożytności. Są one w powinowactwie z niektóremi wierzeniami przyrodniczemi ludów pierwotnych; nie jedne z nich przeniesione zostały ze wspólnego źródła indyjskiego Ulegają one dziś zapomnieniu i zastąpione zostają szybko przez pojęcia z medycyny rozumowej.

Osobny dział medycyny ludowej stanowią środki, których skuteczność stwierdziło doświadczenie, a więc działające mocą swych własności leczniczych bez wpływu potęg nadprzyrodzonych. Niekiedy tylko lud przy ich użyciu zastrzega czas przyjmowania, odmawia modlitwy i t. d. Środki te przeszły do ludu od duchowieństwa, dworów i lekarzy dawniejszych z ksiąg Siennika, Syrenjusza i t d.; wiele jednak wiadomości o nich jest dziedziczną własnością ludu, przechowującą się od czasów niepamiętnych w tajemniczej mądrości znachorów.

Inteligencja nasza posiada także swoją medycynę, mającą do pewnego stopnia pokrewieństwo z ostatnim działem medycyny ludowej. Jak tam, tak i tu panuje gruby empiryzm, tylko, że wiadomości są pewniejsze. Dawne *silva rerum* i kalendarze przepełnione były przepisami lekarskiemi, mającemi do dziś zastosowanie w wielu domach, szczególniej po wsiach.

Narówni z podaniami, klechdami, zwyczajami, obyczajami i poezją ludu medycyna ludowa stanowi ważny przyczynek do ludoznawstwa wogóle. Wiele też środków ludowych przeszło do skarbca medycyny praktycznej (*adonis vernalis, convallaria majalis, nympha lutea* i t. d.), a wiele jeszcze przejdzie po bliższem zbadaniu ich naukowem.

Dotychczasowe usiłowania u nas przy zbieraniu materjału z medycyny ludowej spełzły na niczem. Na rozesłany w r. 1890 kwestjonarjusz dra Sterlinga, przedrukowany następnie przez »Wisłę« i »Wiek«, nadesłano do redakcji »Zdrowia« dziewięć (!) odpowiedzi, a z tych trzy z Królestwa. Jaki będzie wynik po rozesłaniu kwestjonarjusza tylko przez komitet hygjeny ludowej tegorocznej wystawy hygjenicznej, trudno przewidzieć. Otóż raz jeszcze zwracamy się, za pośrednictwem pism naszych, do tych, którym dobro ogólne i dobro nauki nie jest obojętne, z prośbą o jaknajobfitsze dostarczenie materjału, a w szczególności do kobiet polskich, które od wieków zajmowały się leczeniem ludu, były niegdyś i są dziś serdecznemi jego opiekunami w najcięższej niedoli — w chorobie, a przytem najlepiej znają medycynę ludową.

Mamy przytem nadzieję, że szanowne panie nadeślą także wiadomości o wszystkich sposo-

bach i środkach przez siebie używanych, choćby nawet w tym rodzaju, jak noszenie trzech kasztanów w kieszeni (od reumatyzmu). Lekarstwem bowiem, w obszernem znaczeniu tego wyrazu, może być wszystko, co w danym wypadku działa dobroczynnie na chory ustrój, na chore życie, a więc najróżniejsze czynniki mechaniczne, chemiczne, fizyczne, pokarmy i dopiero w ostatnich czasach bliżej objaśnione wpływy psychiczne. Największe znaczenie w doniesieniach mieć powinne — obok wierzeń, przesądów, praktyk różnego rodzaju przez lud stosowanych — wiadomości o lekarstwach właściwych (zwierzęcych, roślinnych, mineralnych), a to ze względu na przyszłe nad niemi badania naukowe. Materjał nadesłany, po zużytkowaniu go, złożony zostanie w warszawskiem Muzeum etnograficznem. Jakkolwiek forma doniesień może być dowolna, to jednak upraszamy o pomieszczenie: 1) miejsca spostrzeżeń, 2) kto i gdzie zajmuje się leczeniem (oprócz lekarzy), 3) nazwy ludowe chorób i pojęcia ludu o chorobach i ich przyczynach, 4) badanie chorych i metody leczenia, 5) środki (lekarstwa) używane tak przez lud, jak przez klasy więcej oświecone. Pożądanem byłoby nadsyłanie środków mniej znanych, jakoteż starych podręczników, przepisów przechowywanych i odziedziczonych, wyciągów ze starych kalendarzy, notatek rodzinnych, pamiętników i t. d. (pod opaską). O nadsyłanie odpowiedzi prosimy pod adresem: Fr. Rajkowski, Ciechanów, stacja kolei nadwiślańskiej. Przedmioty zaś: Zarząd wystawy hygienicznej w Warszawie, biuro budowlane magistratu.

Upraszamy przytem wszystkie pisma polskie o przedrukowanie niniejszej odezwy«.

Warszawa, d. 3-go lutego 1896 r.

Rajkowski.

Urywek z dziennika.

[Ciąg dalszy].

— Logika faktów! Cóż poradzicie państwo przeciw temu? Nie istniejemy, bośmy istnieć nie mogli i nie możemy. Wszelkie wysiłki są po prostu protestacją przeciw nieugiętej logice dziejowej, która przejść musi ponad nami do porządku.

— Wysiłki kościuszkowskie to może także protestacja przeciw logice? — bąknął z nad kieliszka Karol. — Prace prawodawcze i naukowe także?

Biernacki ramionami ścisnął.

— Cóż poradzić z jednostkami, którym we krwi kipi? W pewnych chwilach dziejowych, jako konieczny wynik pewnych przyczyn, muszą pojawiać się takie osobniki. Psychika historji, nic więcej. Są one nagromadzeniem, narwaniem soków, krążących po organiźmie, w niewłaściwe warunki postawionym. Soki te muszą znaleść ujście i wytwarzają się takie typy — anormalne w każdym razie.

— Pysznie miałyby się narody, gdyby nie było tych anormalnych.

LETKIEWICZ.

SYLWETKA

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dokończenie).

— Ja się na to zdobyć nie mogę... Mnie wszystko truje...

— Bo zdziczałeś w swojem osamotnieniu, przyjedź-no do nas, na kilka tygodni, na odpoczynek, my cię wyleczymy z mizantropji.

— Jakto, my?

— Ano ja, moja żona, moje dzieci, nasz dom, wreszcie natura, przyjedź...

— Chciałbym, ale...

— Chciałbyś, to już dość.

— Ciężko.. zaskorupiłem się, jak ślimak, nabrałem przyzwyczajeń różnych..

— Przemóż się..

— Tak to niby łatwo!

— Więc każ sobie.

— Albo to można?

— A widzisz... innym byś chętnie rozkazywał, a sam nad sobą władzy nie masz.. No cóż, przyjedziesz?

— Przyjadę.

— Pamiętaj...

Przyjaciele uścisnęli się i w parę godzin później pan Stanisław znalazł się w domu, u siebie. Na jego spotkanie wybiegła śliczna kobieta i troje szczebioczących dzieci...

— Jakże? szepnęła przytulając się do jego ramienia.

— Dobrze.

— Z tobą zawsze dobrze, mój drogi

Nie wiedziała, że cała inteligencja miejska, zwłaszcza niewieścia, opłakuje jej niedolę i los nieszczęśliwy.

— — — — — — — — — — — — —

Wieś Pisanka leżała nad brzegiem bystrej rzeki, od klęsk powodzi zabezpieczał ją wał ziemny, który powstrzymywał szalejący żywioł i nie dał mu porywać wątłych chat wieśniaczych. Z wylewu nie wiele sobie robiono, ludność Pisanki wychodziła na ratunek wsi bardziej zagrożonych, leżących daleko po za wałem.

Wiosna była nader wczesna, słońce zaczęło przygrzewać, obfite deszcze spadły, śniegi topniały w mgnieniu oka, a lód na rzece pękał z trzaskiem i szerokiemi kawałami płynął z biegiem wody.

— Hm... Ewolucja... Byłaby szeroka, podstawowa, gruntowna ewolucja. Bez podskoków, bez szamotań się i bez reakcji po chwilach wybuchowych...

— Cóż każesz zrobić, jeśli zjawią się te twoje... narwania anormalne? Otwierać?

— Należałoży wyrobić jakąś hygjenę polityczną, to pewna.

W tej chwili zwrócił na siebie uwagę stary emeryt, który, zaczerwieniony aż do włosów, podnosił się od swego stolika, trzęsąc głową i poruszając bezzębnemi wargami. W mocnej irytacji przybliżył się do naszego stołu.

— Za pozwoleniem, łaskawi państwo... — i na chwilę głos mu się zaciął. Przywykliśmy już byli do tych znienacka interwencji nieznajomego staruszka, któremu nasze dyskusje nieraz spokojnie kawy dopić nie dały. Nigdy jednak nie widziałem go tak silnie wzburzonego.

— Za pozwoleniem... To, co panowie mówicie, to... to... z przeproszeniem... — Powstrzymał się z wysiłkiem i miększym tonem ciągnął dalej. — Społeczeństwo nasze chore, to pewna i dobrego lekarstwa mu potrzeba. Ale gdyby naszego Kościuszkę, naszych Madalińskich, naszych Małachowskich robić jakiemiś... pfe! — I widocznie nie mogąc dłużej zapanować nad sobą, zaczął szybko, przejmującym głosem, ręce chwilami podnosząc nad głową. — Toż nie trzeba serca mieć w piersiach, aby nie odczuć, czem byli oni i co czuli, toć trzeba chyba być ślimakiem, egoistą zgniłym do dna duszy, aby najszczytniejsze wysiłki i ofiary dla kraju lekceważyć i wszystko co wzniosłe i szlachetne poniżyć! Wam, panowie młodzi, rozum dziś do wszystkiego przeszkadza. Skalpelem nauki radzibyście każde najświętsze uczucie pokrajać i z gorącego zrobić zimne, z czarnego białe. Społeczeństwo chore — zapewne, i to wy chorzy jesteście, wy, co nie rozumiecie, jak prawdziwy syn ojczyzny czuć i sądzić powinien.

Umilkł nagle, spostrzegłszy, że za daleko może zaszedł. Spojrzałem na Biernackiego. Przykrość malowała się na jego twarzy, jednak żadnem szorstkiem słowem się nie zdradził. Owszem, przysunął, nie podnosząc się z miejsca, obok stojące krzesło i ruchem ręki zaprosił starego. Dobry uśmiech nawet pojawił mu się na ustach.

Staruszek, tknięty znalezieniem się Biernackiego, rozrzewnił się nagle, usiadł i spoglądając na nas szklącemi się od łez oczyma, mówił, drżenie głosu hamując:

— Darujcie, panowie, staremu — darujcie. Czasem niepotrzebne słowo się wymknie. Ale gdybyście wiedzieli, jak to boleśnie mnie, mnie... com na takie rzeczy patrzał, com własnemi rękami... — Począł głośno nos ucierać, kaszlać, chrząkać i reszta słów zdusiła mu się w tym kaszlu, czy łkaniu.

Biernacki postawił przed nim kieliszek i wina mu nalał.

— Panie łaskawy, któż tego nie wie? My krytykujemy i rezenujemy, a wy — działaliście. Wielkich ojców nędzne dzieci — ktoś już to powiedział. A może pozwoli pan likieru? Leciutki, upewniam — i wybornie działa na piersi. Pan dobrodziej kaszle. Trzeba staranniej się ochylać; masz pan zwyczaj otwarte nosić palto na ulicy,

---

Zapowiadała się wielka powódź, bo wszystkie strumienie, wszystkie drobne, w lecie zazwyczaj suche, rzeczułki wezbrały. Na polach woda z rowów występowała nad brzeg i zalewała niżej położone łany, łąki wyglądały zdaleka, jak szerokie jeziora.

Pan Stanisław o swoje mienie był spokojny, gdyż i dwór i folwark i łąki były znacznie od brzegów oddalone i leżały na wzgórzu, ale obawiał się o włościan.

Wał wprawdzie był dość mocny, co roku wytrzymywał napór fal, ale takiego wylewu dużego od wielu lat nie było, zachodziła obawa katastrofy.

Robiono co można, aby się przed nią zabezpieczyć, ale nadeszła ona wcześniej, niż się spodziewano, nadeszła podczas ciemnej nocy nagle. Zwiastował ją nie szum, ale ryk wody, wdzierającej się do chat, przez drzwi i przez okna...

Wał przerwany!

Ten okrzyk groźny, ta wiadomość, jak piorun wstrząsnęła całą okolicą.

We dworze zapalono światło, w okolicznych wioskach pozrywali się ludzie ze snu, kto żył, ku wodzie biegł.

Zanim zorganizowano pomoc, zebrano się w gromadę, zanim przygotowano łodzie i tratwy, brzask się zrobił i rozjaśnił chociaż o tyle, że można było coś widzieć. Na dachach zalanych domów, drżących pod naporem wody, siedzieli zrozpaczeni ludzie, wołając o ratunek. Głos ich nie dochodził do lądu, bo głuszył go szum wody, ale po gestach rozpaczliwych, po ruchach, można się było domyśleć, jak jest okropny.

Pierwszą łódź spuszczono na wodę, pierwszy pan Stanisław w nią wskoczył; długiemi ciężkiemi wiosłami walczono z falą. Za przykładem pierwszej popłynęła druga, trzecia i czwarta...

Dobili się do zalanych, nie uratowali im mienia, ani dobytku, bo już woda wszystko sprzątnęła, ale ocalono życie kilkudziesięciu biedaków.

Do wieczora prawie trwała ta walka z falą, to wydzieranie ludzi z chłodnych objęć śmierci, ale uratowano wszystkich.

Ostatni przybił do lądu pan Stanisław, przemokły do ostatniej nitki, spracowany, zziębnięty. Dreszcz nim wstrząsał nerwowy...

Biedaków umieszczono, jak było można... część do dworu przyjęto, część włościanie sąsie-

uważałem to nieraz. Daleko pan mieszka? Może posłać po dorożkę?

Ta dorożka dziwnie jakoś zabrzmiała — spojrzałem zdziwiony na Biernackiego. W tej chwili zdało mi się, że gdy pochylał się ku staremu z uprzejmym uśmiechem, z piersi wydobył mu się szybki stłumiony szept:

»Zbieraj-że się co prędzej! Djabli mi cię nasłali... Biedy gotowyś mi narobić swoim językiem, stary maniaku!«

Mówię: zdało mi się, gdyż było to szybkie i tak niepodobne do niego. Mam słuch podrażniony, wprost już halucynacje mię opadają. Nie mogłem jednak się powstrzymać od baczniejszego spojrzenia w oczy.

Staruszek zerwał się z krzesła i przerażony począł przepraszać i uniewinniać się, aż żal było nań patrzeć. Odchodząc jednak nie mógł wytrzymać, aby nie burknąć zcicha o oschłości serca dzisiejszej młodzieży, o dawnych lepszych czasach, o wierze.

Po jego zniknięciu niespodzianie zabrał głos mój Olek.

— Wszystko to być może bardzo racjonalne co pan mówisz, ale w takim razie — cóż każesz pan nam robić?

— Nic — to wszystko, co jest dziś najlepszego.

— Wypełniamy ten program dość ściśle, a wszakże... cóż z tego być może? — wtrącił nagle Karol.

— Historja przejdzie nad nami do porządku dziennego. Miejmy odwagę powiedzieć to sobie. Logika dziejów — cóż poradzisz?

Ścisnął zlekka ramionami i ręce wsunął w kieszenie.

— I każesz czekać tej konsekwencji z uszami stulonemi? I wyciągać szyję pod nóż? A co jeszcze logiczniej: poprosić, aby prędzej dokonano operacji? Winszuję — zimnej krwi!

— Czy zimną mam krew, to moja rzecz. W każdym razie nie widzę potrzeby obnosić po rynku moich uczuć i krzyczeć, aby krzyczeć. — Powstał od stołu i powolnym krokiem w głąb odszedł.

Wiem dobrze, że nie ci, co mówią wiele, najmocniej czują Zdaje mi się, że Biernackiemu wyrządzono krzywdę, tłumacząc opacznie jego dla spraw naszych uczucia. Powstałem, aby go dopędzić i zatrzeć ile możności przykre wrażenie końca dysputy. Gdym się jednak znajdował już o parę kroków od niego, ucho moje doleciał znowu ów szmer słów, zdradziecki szmer słów jego myśli.

Zatrzymałem się, przelękniony niemal.

»A moja służba wiernopoddańcza? A moja znana lojalność? A moja karjera, ku której zaledwie pierwsze kroki stawiam? Miałbym się zpyszna, gdybym pozwolił sobie tak, jak wy krzyczeć. Logika dziejowa — oto moja wiara; i zarazem karjera w kieszeni. A notabene: jestem zgodny z samym sobą. Pyszna rzecz, jak Boga kocham«...

Ostry, suchy śmiech przeciął ten monolog.

Formalnie dreszcz mię przeszedł po ciele. Ogłuszony, jakby niespodzianem uderzeniem w głowę, wróciłem do stołu, nie widząc nic i nikogo. Nie umiałbym powiedzieć, cośmy potem

---

dni do chat swoich zabrali, a woda wciąż szalała.

W wale, niby w zburzonej twierdzy, wyłom się rozszerzał, fala mszcząc się za opór, rwała ziemię kawałami, coraz większą sobie otwierając bramę.

Był to dzień sądny, naprawdę.

Dopiero koło północy, Stach uległ namowom żony i położył się na spoczynek, poleciwszy wprzód, aby go obudzono z brzaskiem dnia...

Tego polecenia spełnić nie było można, dzielny czlowiek leżał w gorączce, był nieprzytomny, bredził...

Posłano po lekarzy, robili co mogli, przytomność nie wróciła, w trzy dni później skończył.

I były łzy, rozpacz, pogrzeb, żałoba, wdowa i sieroty...

— — — — — — — — — — —

W domu przy rogatkach, u pani Adamowej jest wielkie zgromadzenie.

Nie mogła być na pogrzebie siostrzeńca, dla niepogody, dla złej drogi — ale chce wiedzieć szczegóły...

Jest doktór w złotych okularach, jest otyły adwokat, jeszcze kilku panów, kilka pań, razem kilkanaście osób, jest nawet specjalnie zaproszony pan Konstanty, jako przyjaciel nieboszczyka, podobno wykonawca jego ostatniej woli.

Pani Adamowa nie wierzy, aby Letkiewicz mógł mieć ostatnią wolę...

— Jakże to było? — pyta, — z czegóż właściwie umarł?

Komplikacja, pani dobrodziejko, mówi lekarz...

— Komplikacja... to coś nowego...

— Zapalenie płuc i mózgu. — Cały dzień na zimnie, w wodzie .. Organizm wprawdzie silny, ale złamał się..

— I po co, po co ten szaleniec się narażał?

— Ratował innych, pani...

— A któż jego teraz poratuje? Zawsze mówiłam, że był lekkomyślny i że źle skończy... Stało się. — Ratował.. Łatwo to powiedzieć, ale kto da jeść jego żonie i dzieciom?

— Niech się pan o to nie obawia, pamiętał o nich, jest testament, odezwał się pan Konstanty.

— Przepraszam najmocniej, odrzekła matrona, nie wierzę, dopóki nie zobaczę... Ja go znałam, tego Stasieczka... znałam go dobrze.

— Owszem, służę pani, — rzekł, — podając jej ćwiarteczkę papieru...

— To ma być testament?

mówili i co czynili — ocuciłem się dopiero, gdyśmy z Olkiem znowu znaleźli się na ulicy.

— Powiedz mi, mój kochany — rzekłem biorąc go pod rękę, — co to w nas jest, w nas, ludziach dzisiejszych czasów, że szukamy uparcie i zawsze spodziewamy się znaleźć w naszych bliźnich zupełnie coś innego, niż to, co da się znaleźć w istocie. Czyżby nasze ideały podniosły się wyżej nad dawny poziom? czy ludzie stali się gorsi? Ależ nie! Ani jedno, ani drugie. To, co nas uczy moralności, tej troszkę etyki, płynie wszak z tego samego źródła, co płynęło od lat tysiąca. Nie dodało się tu chyba ani jedno nowe słowo. Narzekać zaś na korupcją naszego świata jest wprost śmieszne gdy się wezmie pod uwagę czem byli i jak baraszkowali nasi z owych czasów przodkowie.. Czy możesz mi więc wytłumaczyć, czem się to dzieje, że co chwila naskakujemy na niespodzianki, od których — doprawdy — świat gorzknieje.

— Nie wiem, do kogo śpiewasz — odrzekł mi Olek — jeśli do Biernackiego, to przecie żadna niespodzianka, że widzi wszystko w czarnych kolorach. Maruda, tetryk — ale w gruncie najpoczciwszy chłopiec.

— Nie mam na myśli Biernackiego wyłącznie, jest taki, jakich wielu... zapewne. Ale wytłumacz mi jeśli możesz, czemu nam wszystkim tak ciężko się żyje? Czemu ciągle nam się zdaje, że ocieramy się o jakieś ostre kończaste przedmioty, że — aby się nie poranić i nie obedrzeć skóry — kurczyć się w sobie musimy coraz ściślej? Niewątpliwie przyczyna leży w nas samych, ale w czem streszcza się, chciałbym wiedzieć? Jestże to ta nadczułość, o jaką nas pomawiają? czy te nieszczęsne nerwy, na rzecz których przywykliśmy wszystko zwalać? Wygodnie, w samej rzeczy, mieć taką przyczynę przyczyn, na którą zesłać się można w każdym wątpliwym wypadku. Ja jednak — znasz mię — nie cierpię wcale na nerwy, mimo to, nie dzieje mi się lepiej, niźli zdecydowanym nerwowcom. Ludzie dawnych czasów byli jakoś bardziej rzeźcy, niż my, nie zadawali sobie trudu troskać się o innych, a mieli baczność jedynie, aby w zgodzie być z własnem sumieniem. Spotykały ich mniejsze lub większe krzywdy i obrazy — dochodzili sprawiedliwości, często wymierzali ją sobie sami, płacili nienawiścią lub wzgardą — i wszystko było w porządku. Nie słyszałem, aby który z nich doświadczał przykrości, dokuczliwej przykrości w odczuciu dysharmonji, jaką się codzień napotyka w ludziach i stosunkach. Tak, dysharmonji.

Weźmy naprzykład owe zasady moralności, o których wspomniałem. Przodkowie nasi brali Dziesięcioro Przykazań Bożych, pięcioro kościelnych, dobrze ich się uczyli na pamięć i całe życie kierowali się niemi ściśle — ani kroku w prawo, ani kroku w lewo. I dobrze im z tem było zupełnie Nas uczą równie tego samego na pamięć — my jednak, abyśmy tylko pierwszy krok w samoistnem życiu postawili zaraz rozpoczynamy swoje... »Nie kradnij«, »Ani wołu, ani osła...« Ależ właśnie i »wół« i »osioł« i »każda rzecz, która nie moja jest«. Czy powiesz mi śmiało, z ręką na sercu, że to co jesz i tam gdzie mieszkasz, i w co się ubierasz, że nawet co umiesz i co myślisz, to jest, czem jesteś sam

---

— Tak...

— To świstek jakiś, kwitek!

— Ma bezwarunkową ważność wobec prawa.. Napisany własnoręcznie przed czterema laty...

— Przed czterema! Jezu Chryste! Dajcież mi okulary! Niech przeczytam...

Podano szkła i dama drżącym głosem czytać zaczęła:

»Droga Andziu! Nikt nie wie, kiedy umrze, więc piszę te słowa. Zostawiam wam folwark i polisę na piętnaście tysięcy«.

— Ubezpieczył się!?

— Tak pani..

...»Na piętnaście tysięcy, — czytała dalej. — To dla was. Wychowaj dzieci na uczciwych ludzi i wspominajcie czasem o waszym Stanisławie...

Życzę sobie, aby opiekunem przydanym moich dzieci był Konstanty ***.

Pisanka dnia 14. Sierpnia 188...

(podpis).

— Teraz pani wierzy?

— Wierzę.

Nastało milczenie, panowie szeptali po kątach.

Może im się przypomniał Aronek i te kilkaset rubli rocznego wydatku, które nieboszczyk podziewał niewiadomo gdzie...

— Jak to dziwne jednak, — rzekł półgłosem adwokat...

— A dziwne, panie — dobrodzieju, rzekła pani Adamowa... — Juścić niema co mówić, postąpił uczciwie, o dzieciach pamiętał, ale zawsze musiał to po swojemu zrobić.

— Jakto, po swojemu?

— Któż tak pisze akt ważny i uroczysty? Alboż to testament? To jakiś liścik, bilecik do Andzi.. zaczyna się: »kochana Andziu«... Dajcież państwo pokój! Ten świstek to prawdziwy testament Letkiewicza. Człowiek poważny zrobił by to inaczej.

— Albo nie zrobił by wcale, — mruknął pan Konstanty, chowając testament do kieszeni.

w swej podniosłości — nie jest gdzieś, komuś, z czyjąś krzywdą — rzetelną, nie urojoną krzywdą — odebrane, tradycyjną przemocą odjęte? Jesteś rolnikiem, ja urzędnikiem — czy zapewnisz mnie, że nasze wygody sprawiedliwie nam się przynależą? Że ty, aby żyć dostatnio i prawie bezczynnie nie zmuszasz pracować na siebie setki rąk, które wcale takiego rezultatu tej pracy, jak ty, nie doczekają? A ja, czy zdobyciem sobie kawałka chleba, nie pozbawiłem go innych, wielu innych, którzy po ten sam kęs z rozpaczą może wyciągali ręce? I »wół« tu i »osieł« — możesz być pewny. Wszakże pod naszem okiem we własnym naszym domu musimy tolerować nieraz kradzież naszych sług — tak, musimy tolerować występek, bo rozumiemy, że to bieda żywi się okruchami naszych stołów, bo nie możemy powiedzieć im śmiało: to moje i nic mi do tego, że ty nic nie masz.

C. d. n. *W. Dalecka.*

O niewolnictwie starożytnem.

Szkic socjologiczny.

(Ciąg dalszy).

III.

Badanie początków starożytnego niewolnictwa jest nader trudne dlatego, że gdy źródła pisane historyczne powstały można było poznać tylko fazy rozwojowe i formy wytworzonego już niewolnictwa; ponadto ograniczyć się musi historyk głównie do źródeł prawodawczych, bo wszelkie inne zajmują się przeważnie tylko dziejami obywateli wolnych i to tych, którzy należeli do tz. »warstw wyższych«. Najstarsze np. inskrypcje, tj. egipskie i assyro-babilońskie, są w największej swej liczbie chronologjami i genealogjami królów, biblja zaś zajmuje się niewolnictwem tylko w niektórych księgach. Być może, że liczniejsze wskazówki zawierają źródła indyjskie i chińskie, ale te są po dziś dzień dla nauki europejskiej mało dostępne i mniej jeszcze krytycznie rozebrane. W takim stanie rzeczy — źródłowe badanie początków niewolnictwa ograniczać się musi na t. z. metodę wsteczną, przy pomocy której z późniejszych objawów życia społecznego — wnioskujemy o wcześniejszych. Metoda ta, okazała się więcej jeszcze korzystną i miarodajną od czasu, kiedy poczęto badać powstawanie niewolnictwa d z i s i a j — wśród ludów nieucywilizowanych — śladem Morgana i Spencera i kiedy historycy, jak np. Grotte, wykazali, że analogiczne objawy zachodziły także w starożytności. Jużcić nie jest analogja z a w s z e dowodem ścisłym, ale jest nim wówczas, jeśli powtarza się systematycznie i odnosi się — mówiąc za Millem — do jednogatunkowych »jednostajności« przyrody, względnie życia ludzkiego — społecznego. Tak tedy wnioskowanie o powstaniu niewolnictwa starożytnego z faktów, dzisiaj wśród barbarzyńców obserwowanych — jest logicznie uzasadnione. Z faktów tych okazuje się, że archaiczno-komunistyczne grupy społeczne nie posiadają niewolnictwa i, że niezawsze dążą do tego, aby je wytworzyć. Tam, gdzie przyroda skąpo udziela środków pożywienia, barbarzyńcy uważają wszelki przybytek w ludziach za zgubny.

Dla takich grup społecznych byłoby niewolnictwo objawem sprzecznym z najprymitywniejszym popędem do życia i jużcić — nie istnieje. Także tam, gdzie naturalne środki pożywienia są liczniejsze, jak np. u amerykańskich Irokezów — niewolnictwo nie jest zawsze pożądane. Barbarzyniec faktów nie uogólnia tak, jak człowiek cywilizowany, ale przecież pojmuje z codziennego doświadczenia, że gdzie jest niewolnik — tam jest i pan jego i że pan taki zagraża zawsze egzystencji prastarych urządzeń komunalnych; to też u ludów, u których nie nagromadziły się inne jeszcze przyczyny, dążące do rozbicia ustroju rodowego — niewolnik nie istnieje, a jeńcy wojenni, o ile nie są zabijani — bywają wliczani do rodów, tj. uobywatelani. Zamianę jeńców na niewolników widzimy z reguły tam dopiero, gdzie w miejsce pierwotnych komun zaczyna się wytwarzać nowe ogniwo społeczne, tj. narodowość z władzą, stojącą ponad ludem. Fakt taki obserwowano u polynezyjskich Fidżyjczyków w czasie odkrycia ich archipelagu. W Afryce podbił słynny nomada-zaborca, Czaki, wiele plemion murzyńskich przy pomocy swego własnego plemienia. Państwo to — sklecone dorywczo — upadło po śmierci swego twórcy, ale w czasie swego istnienia zamieniało ludy podbite na — niewolników. Podobnie tworzyły się państwa mongolskie w wiekach średnich. Tu i tam niewolnictwo okazuje się jako wynik masowych podbojów. Naodwrót — poddaństwo średniowieczne było często wynikiem konieczności odporu nieprzyjaciół. Rycerze bronili granic, a reszta ludności pracowała na ich utrzymanie i stan ten, raz w życie wprowadzony pozostał nadal, mimo że odpadły przyczyny, które go stworzyły. Tego rodzaju fakty znane są dzisiaj i w historji starożytnej, to też niewolnictwo okazuje się wogóle, jak bezpośredni skutek zamiany jeńców na niewolników, masowych podbojów lub ciągłej obrony granic. Zamienianie jeńców na niewolników jest, zdaje się, najstarszą formą powstawania niewolnictwa, ale nie mamy żadnych dowodów na to, jakoby forma ta nie łączyła się także z masowym podbojem lub odporem; przeciwnie występują one często wspólnie, natomiast podbój i odpór są z reguły

rozdzielne i łączą się dopiero wówczas, kiedy dane plemię z defenzywy przechodzi do ofenzywy.

Prawodawstwa starożytne i późniejsze znają jeszcze inną formę wytwarzania się niewolnictwa, tj. handel ludźmi, do dziś dnia — mimo silnego przeciwdziałania — powtarzający się. Forma ta, związana już z więcej rozwiniętymi stosunkami wymiany towarowej — jest tem samem uwarunkowaną wyższym stanem kulturnym i dlatego jest już późniejszą, jakkolwiek widzimy ją już w homerycznej Grecji. Wszystkie te niewolnictwa dadzą się sprowadzić do wspólnej przyczyny. Zamiana jeńców na niewolników, podbój i odpór, wreszcie handel ludźmi wskazują jednozgodnie na to, że niewolnictwo powstaje, jako skutek zapotrzebowania sił roboczych w chwili, kiedy pierwotne komunistyczne grupy społeczne zaczynają się różniczkować. tj. są na drodze do wytworzenia — »państw«. Stąd to pochodzi, że barbarzyńcy, którzy skutkiem warunków terytorjalno-geograficznych i antropologiczno-etnicznych nie dochodzą do przetworzenia swych komun plemiennych w »państwa« — niewolnictwa nie posiadają i nie dążą do niego. Barbarzyniec, którego postęp ekonomiczno-społeczny jest ściśle przez naturalny przyrost środków pożywienia uwarunkowany, żądny jest pracy niewolniczej tam, gdzie przyrost ten przekracza możność zużytkowania go dla siebie bez pomocy większej ilości ludzi. Wówczas dopiero decyduje się lud nieucywilizowany do zamiany jeńców wojennych na swych robotników, a niewolnictwo jest formą tej zamiany. Niewolnik pierwotny, potrzebny bardzo, a przytem rzadki i nabyty z narażeniem własnego życia — podlega ekonomicznemu prawu ceny, tj. stosunkowi podaży do popytu i jest skutkiem tego długi czas, tudzież tam, gdzie nie nastąpił zabór masowy — uważany prawie za członka rodu swego pana Jestto często powtarzający się u wielu ludów tzw. patrjarchalny okres rozwojowy niewolnictwa, którego ślady wyraźne widzimy w biblji. Niewolnicy biblijnych patrjarchów wyglądają, jakby dobrowolni, dobrze sytuowani najmici, a nawet później, kiedy plemiona izraelskie — przekroczywszy Jordan — rozpoczęły akcję zaborczą, była ona tak uciążliwą i powolną, że podaż pracy niewolniczej nie dorównywała popytowi, to też nie dziw, że teokracja żydowska ochraniała przepisami wyznaniowymi niewolników przed nadużyciami panów. W starożytnym Egipcie również są ślady patrjarchalnego niewolnictwa. Była tutaj wprawdzie zawsze znaczniejsza podaż pracy niewolniczej, jak u Żydów, ale też kraj był obszerniejszy od Palestyny i wymagał wiele sił roboczych przy roli i regulacji Nilu. Dopiero zabory azjatyckie faraonów dostarczyły Egiptowi wielkich mas niewolniczych. Odtąd poczęto ich uciskać, a mając teraz podostatkiem sił do pracy, zużyto je dla celów kulturnych tj. do budowania słynnych egipskich obelisków, piramid, sfinksów, pałaców i miast 100 bramnych. Kultura staroegipska wzniosła się tedy na barkach niewolniczych; u Żydów mała podaż inwentarza ludzkiego nie pozwoliła na taki kulturny rozkwit, a Salomon — budując jerozolimską świątynię musiał się zapożyczać u Fenicjan nietylko w złoto i srebro, ale także w niewolników. Czy i jaki był okres patrjarchalny niewolnictwa u Assyryjczyków, Babilończyków, Lydów, Medów i Persów nie wiemy W okresie historycznym ludy te posiadają już państwa zaborcze, w których egzystują całe rzesze niewolników obojga płci i za cenę utrzymania życia tudzież pod biczem panów — doprowadzają cały Zachód azjatycki do większego jeszcze kulturnego rozkwitu — niżli to miało miejsce w Egipcie. Po zaborach macedońskim, a później rzymskim — niewolnictwo zachodnio azjatyckie, niemniej żydowskie i egipskie dostosowało się do form niewolnictwa grecko-rzymskiego, określonych ściśle przepisami prawa rzymskiego. Z ludów azjatyckich wywarli najtrwalszy wpływ na dalszy rozwój niewolnictwa Fenicjanie, bo oni to — jako pierwsi kupcy *en groos* — rozwinęli mały początkowo handel ludźmi — na bardzo wielką skalę i byli w tym względzie mistrzami dla Greków i Rzymian.

(D. c. n.). *Dr K. J. G,*

Rozbiory i sprawozdania.

(Aleksander Kraushar: Frank i Frankiści polscy 1726—1816. Monografia historyczna, osnuta na źródłach archiwalnych i rękopiśmiennych (2 tomy. Kraków 1895 r.)

(Dokończenie).

Kiedy r. 1758 król August III. uznał kontratalmudystów za wyznanie tolerowane — Frank przeniósł się do Iwania, tu otoczył się dworem „braci i sióstr“ i powtórnie ogłosił, że zamyśla „wejść do religji chrześcijańskiej“. W ten sposób cały kontratalmudyzm“ Franka i jego pierwszych zwolenników, okazuje się aż nadto wyraźnie, jako przygotowawczy stopień do przechrzczenia wielkiej ilości Żydów w Polsce — a p. Kraushar — jakkolwiek wyraźnie tego nie wypowiada, przytacza jednak fakt nader charakterystyczny, który rzuca jaki taki promyk światła na działalność Franka. Oto obok niego gościł w Iwaniu niejaki Remigjan Kossakowski pod przybranem imieniem Moliwdy, który Franka obznajamiał z dogmatami wiary chrześcijańskiej i raz nawet zawiózł go na tajną naradę do głośnej kasztelanowej Kamienieckiej — Katarzyny z Kossakowskich Potockiej. Po przyjeździe z Kamieńca usłyszała gromada

iwańskich kontratalmudystów od swego „proroka“ stanowcze słowa, „że niemasz lepszej wiary, jako chrześcijańska i że należy chrzest przyjąć“. Tymczasem wysłańcy Franka dążyli celowo wprost do większego jeszcze niż dotąd rozjątrzenia talmudystów przeciw kontrtalmudystom, dlatego to, sądzimy, doprowadzili do drugiej teologicznej żydowskiej dysputy r. 1759 w katedrze lwowskiej. P. Kraushar nie zna przyczyny, dlaczego kontrtalmudyści, gotowi już do przyjęcia chrztu, dyspute tę wywołali. Sądzę, że odpowiedź na to daje nam ostatni punkt zarzutów, stawianych przez nich talmudystom, tj. używania krwi chrześcijańskiej. Zarzut ten, o którym przecież sami ci, co go stawiali — nie mogli być przekonani, że jest prawdziwym — jest związany z widoczną chęcią nie pozostawienia dla kontrtalmudystów innej drogi wyjścia — jak chrzest, który też w jesieni 1795 r. odbył się na osobie Franka, jego familji i więcej jak 500 uczniów we Lwowie. Sam Frank zresztą później nieco przyznał się do takiej polityki wyznaniowej. Że była ona sprytną, — bez kwestji! Oto — jak słusznie p. Kraushar zaznacza — chrzest otwierał neofitom wiele bardzo społecznych korzyści w Polsce. Wielu Frankistów otrzymało szlachectwo — inni pod nie się podszyli, a najmniej znaczni nawet, uzyskali swobody mieszczańskie. Jeśli wobec tego — przed Frankiem mało stosunkowo było przechrztów — to wielką przyczyną tego był samorząd gmin żydowskich, władza rabinów i talmud. Frank — stworzywszy kontrtalmudystów — wyklętych z synagog, oderwał ich de facto od judaizmu prawnie uznanego, a przyjęcie chrztu odbyło się następnie konsekwentnie nietylko pod wpływem nauk „mistrza i pana“, ale także dla korzyści — życiowych, społecznych.

P. Kraushar zastanawia się także nad „tajemniczymi obrzędami“ i istnie kabalistycznie niejasną nauką Franka z dążnościami do komunizmu gospodarczego i nawet płciowego. Słusznie podnosi autor, że nauka taka była wynikiem małej stosunkowo inteligencji „pana“ i jego popędów emocjonalnych, sądzimy jednak ponadto, że była to celowo obmyślana droga, aby zbliżyć się do mas ludowych żydowskich, tych mas, wśród których po dziś dzień wszelka tajemnica i łamigłówka kabalistyczna stanowi dowód boskości lub przynajmniej wielkiej wiedzy. Przez całe życie swoje umiał Frank w ten sposób opanowywać masy swych zwolenników, ale że to nie zgadzało się znów z dogmatami świeżo przyjętego chrystjanizmu — to też nie dziw, że „pan“ został zawezwany przed sąd duchowny i osadzony w więzieniu w Częstochowie. Nadzorcami więźnia byli XX. Paulini, ale ponieważ Frank zawsze na zewnątrz wypełniał ściśle obrzędy katolickie — więc rygor więzienny był bardzo mały. Pozwolono na przyjazd żony Franka, córki Awaczy, wreszcie nawet „braci i sióstr“. W więzieniu częstochowskiem utworzył sobie „pan“ dwór liczny i kierował stąd neofitami Frankistami — jakby absolutny monarcha. Kiedy Rosjanie zdobyli na konfederatach barskich Częstochowę — „pan“ został uwolniony — przeniósł się do Warszawy, a stąd do Berna morawskiego.

Czy nakłaniając Żydów do chrztu, spodziewał się Frank wielkiej nagrody — nie wiadomo, ale możemy się domyślać, że było tak, bo rzadko który człowiek dorównywał mu w ambicji osobistej i „chęci panowania“ Nie wiemy także, czy działał on z własnego impulsu, czy też jako narzędzie i czyje narzędzie — tyle pewne, że mówił nieraz o sobie, iż był „posłany“.

Bądź co bądź — poróżnienie się Franka z władzą duchowną zmusiło go do emigracji, ale nagrody za swą działalność doczekał się od własnych stronników, którzy aż do jego śmierci r. 1791 zaopatrywali „pana“ w wielkie zasoby pieniężne. Uznawali go ponadto zawsze za głowę sekty, jakkolwiek na zewnątrz — podobnie jak „pan“ — pełnili ściśle obrzędy religji katolickiej. W Bernie morawskiem zaczął się Frank tytułować baronem i starał się nawet o hrabiostwo austrjackie przy pomocy córki Aweczy czyli Czay, bliskiej przyjaciółki cesarza Józefa II. Kiedy się to nie udało i ponadto pieniądze z Polski i Turcji długo nie nadchodziły — popłacił Frank długi i osiadł w Offenbachu nad Menem obok Frankfurtu pod protekcją książąt izenburgskich — wówczas udzielnych.

Blisko 1000 ludzi gwardji i dworaków, tudzież liczni „bracia i siostry“ otaczali dwór „pana“ w zamku offenbachskim. Było to małe, patrjarchalnie przez Franka rządzone państewko, utrzymywane za pieniądze Frankistów polskich i tolerowane przez władze książęce. Frank pod starość omotał swą naukę w grubszą jeszcze zasłonę tajemnic kabalistycznych, sam zaś ogłosił, że jest królewiczem z Azji i że synowie jego są tylko przybrani — prawdziwem zaś dzieckiem jest jedynie piękna Awacza, „panna“, czczona wprost jako świętość. Awecza ta, czyli Ewa, została po śmierci ojca naczelniczką sekty, żyła wesoło i doczekała się nawet wizyty cara Aleksandra I., marzącego o stworzeniu gmin chrześcijańskich Żydów w Rosji. Niepomyślną dla Awaczy była okoliczność, że Frankiści Polacy zaczęli się w drugiem pokoleniu zlewać coraz bardziej z katolicyzmem i nie nadsyłali dla „panny“ tyle pieniędzy, jak ongiś dla „pana“. Wojny napoleońskie, które wielu młodych Frankistów do szeregów polsko-francuskich pociągnęły — przerwały więcej jeszcze nici, łączących sektę z dworem offenbachskim, a tu tymczasem liczni dłużnicy zaczęli się domagać o zwrot pieniędzy. Bracia Awaczy zbierali jeszcze jaki taki grosz od sekciarzy, ale po ich śmierci doczekała sią „panna“ dochodzeń sądowych i umarła r. 1816 w swym zamku — jako więziona w domowym areszcie niewypłacalna dłużniczka. To bankructwo znamionowało samo przez się także bankructwo frankizmu — jako odrębnej sekty, natomiast jednak liczne — bo liczbę 1000 przekraczające familje frankistowskie stały się integralną częścią społeczeństwa chrześcijańskiego — polskiego.

Dr. G.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.